

JERZY ANTONIEWICZ

Na włoskich plażach

(Korespondencja własna)

Podczas, gdy u nas w kraju kapryśne lato nie pozwala korzystać w pełni ze wszystkich swych uciech — na południu Europy mieszkańcy słonecznej Italii zalegają rojnie liczne plaże półwyspu Apenińskiego, plażując się w słońcu i zażywając kąpiei bądź to w Adriatyku, bądź Morzu Śródziemnym, Jońskim, Tyrreńskim czy Liguryjskim.

Wojna zniszczyła wiele pięknych miejscowości nadmorskich, gdzie liczni czasowicze i turyści zagraniczni spędzali beztrosko wakacje. Jednym z głównych dochodów Italii przed wojną była turystyka — dlatego też z chwilą zakończenia wojny pierwszy wysiłek poszedł w kierunku odbudowy zniszczonych kąpielisk nadmorskich, domów wypoczynkowych, eleganckich kasyn gry, pensjonatów, hoteli, sanatoriów. Zaledwie przebrzmiał huk armat, świst bomb i warok samolotów i czołgów, już plaże zaczęły się zaludniać spragnionymi słońcem i wody mieszkańcami miast, gór i miejscowości wewnątrz kraju, którzy przez cały czas trwania wojny byli pozbawieni tej zdrowotnej przyjemności.

W ślad za tuziemcami zaczęli napływać i cudzoziemcy — turyści. Cudzoziemców — żołnierzy widziały Włochy w czasie wojny mnóstwo — rozmaitych narodowości, ras i kolorów, ale byli to przygodni „turyści” z obowiązku, nie dający nic zarobić.



San Michele di Pagana — widok na zatokę

Obecnie wybrzeże Adriatyku, a przede wszystkim Riviera włoska, zapelnia się na nowo cudzoziemcami, chociaż nie brak i rodowitych Włochów. Ale dla tych ostatnich obojętne jest, gdzie, nad jakim morzem spędzają wczasy. Wszak dwie trzecie granic Italii — to wybrzeże morskie. Co innego goście zagraniczni. Ci specjalnie upodabiali sobie miejsce znane z piękności i o wyrobionej jak Riviera włoska marce — Lido weneckie, Lido rzymskie, Capri, Sorrento, Rimini, Riccione itd.

Wielojęzyczni czasowicze

Według opinii właścicieli hoteli najlepszymi klientami są Anglicy. „Nie robią hałasów, zostawiają sutę napiwki i przy jedzeniu używają szampana. Amerykanie piją dużo w barze przed i po kolacji, nie protestują nigdy wystawionych rachunków. Są także Szwedzi i Duńczycy, którzy kąpią się po trzy lub cztery razy dziennie — są Argentyńczycy, którzy ubierają się z wyszukaną elegancją. O ile chodzi o Rivierę włoską, to bezwzględnie największy procent wśród cudzoziemców stanowią Szwajcarzy, tak, jak przed wojną nad Adriatykiem — Niemcy. Szwajcarzy przyzwyczaili się pięć lat temu czerwone wino i nie są tak roztargnieni jak Amerykanie i Anglicy, którzy często gubią swoje portfele z dolarami lub funtami. Stąd też liczne ogłoszenia na murach, obwieszczenia wysokość nagród za odnalezienie i oddanie zagubionych rzeczy. Szwajcarki nie pozują na eleganci. Wieczorem ubierają się w długie spodnie, swetry z angory i wygodne obuwie na podszewkach przeważnie ze sznurka, zwane po włosku „scarpe da riposo”, co oznacza: obuwie wypoczynkowe. — Można też spotkać i marynarzy amerykańskich, wśród których nie brak Murzynów. Wykorzystują oni odwiedzin swych krążowników na wodach włoskich i beztrosko spędzają czas w Rapallo czy Santa Margherita.

Wszyscy czasowicze są zadowoleni, że na tych plażach jest mało much i komarów. W niektórych hotelach brak

światu w schronisku. Pogoda! Czy to rozumiecie wy poznaniacy, którym pogoda tylko na niedzielę do Puszczykowa potrzebna? **Pogoda w Tatrach!** Wierzę, że grzyby w plecaku nie zchłodzi, zapomina się umyć, na łapach wciągają buty, związa mapę do kieszeni i ruszasz w zaczerpnięty świat. Nawet nie patrzysz na uśmiechnięty ironicznie napis nad drzwiami. Bo musisz chodzić w górę i jeśli już skąd, to tylko z Roztoki. I wiesz, że od 70-u prawie lat wychodzą z tej werandki — choćby nawet była i całkiem inna, niż dzisiaj — takie same, jak twoja postać. Patrz z ufnością w bezchmurne niebo, przecięte w pion zielonymi strzałami smreków a w poziom szarą smugą tatrzańską grani. Pochwalmy wszystkich, którzy ją znamy — Roztoke, bo to brama w najczystszy z polskich światów.

nawet na łóżkach siatek przeciwdymrowych, tzw. moskiterów, ponieważ każdego dnia dezynfekuje się ogrody, otaczające hotele.

Niektóre miejscowości Rivieri dla przypodobania się cudzoziemcom starają się naśladować Neapol. Dlatego też w każdym lokalu obok pieśni argentyńskich lub przebojów filmowych słychać bardzo często stare i nowe pieśni neapolitańskie. Nawet żebracy miejscowi śpiewają po ulicach słynne „O, sole mio”.

Spśród krajowców widzi się na Rivierze najczęściej Mediolanczyków. Bogaci fabrykanci jedwabi i bawełny, słynni aktorzy i artyści posiadający własne samochody, wiodą tu prym. Są ożywieni dziwnym niepokojem, który zmusza ich do szukania kąpiei w jednym miejscu, do zjedzenia obiadu już w innej miejscowości i wreszcie do tańczenia jak najdalej możliwie od miejsca swego zamieszkania. Są w stanie pozwolić sobie na takie ekstrawagancje.

Riviera jest piękna

Cała Riviera dzieli się na dwie części. Część północną — Ponente — ciągnie się od granicy francuskiej (Ventimiglia) do Genui, a południową, czyli Riviera Levante, rozprzestrzenia się od Genui aż do Spezii. Wybrzeże to posiada szereg malowniczych zatok i zatoczek i zaopatrzone jest w ochronę od strony lądu w postaci gór i kopców. Zielonawe pagórki, tropikalna flora, różnorodne kwiaty, błękitne niebo i morze — oto charakterystyka tego czarownego zakątka. Przez Rivierę przebiega droga Aurelia — jeden ze starożytnych konsularnych szlaków — obecnie jedna z najpiękniejszych szos asfaltowych całego półwyspu.

Z najbardziej znanych miejscowości na Wybrzeżu Lazurowym, tzw. Costa Azzura, to San Remo, Rapallo, Santa Margherita, Portofino, Nervi, Genua — największy port na wybrzeżu Liguryjskim — nie posiada dostępnej i wygodnej plaży, rolę tę spełniają miejscowości Nervi i Pegli, będące jak gdyby przedmieściami Genui. W San Remo, leżącym w pobliżu Rivieri francuskiej, znajduje się również znane kasyno gry. Wspaniałe nadmorskie „Corso Cesarzowej” wysadzone palmami, które wraz z innymi powabami przyrody służą ku ozdobie miasta, jest najpiękniejszą częścią tego eleganckiego, urządzonego z przepychem miasta. Ściągają tu zastępy najwybredniejszych turystów różnych narodowości. Sezon trwa nie tylko lato, ale i w zimie przyciąga amatorów gry i różnych rozrywek. Kasyno gry jest otwarte cały rok, a rozmaite imprezy sportowe uprzyjemniają pobyt.

Santa Margherita, położona w jednym z zakątków zatoki Tigullio, otoczona dookoła zielenią chroniącą ją od wiatru, należy również do najbardziej cenionych letnisk Rivieri. W odległości 3 km leży malowniczy zamek Paraggi, ściągający licznie zwiedzających turystów. To samo można powiedzieć o Rapallo, położonym na skraju zatoki Tigullio, gdzie zarówno w lecie, jak i w zimie, jest pełno turystów zagranicznych, których przyciąga piękna panorama Rapallo.

O ile chodzi o wschodnie wybrzeże półwyspu, to uciekało ono bardzo w działaniach wojennych. Piękna miejscowość kąpieliskowa Rimini poniosła wielkie szkody — trzeba wielu lat, aby to wszystko odbudować. Było to na-

prawdę piękne letnisko, cieszące się opieką i poparciem władz, które przyczyniły się bardzo do rozbudowy miasta i uczyniły z niego jedno z pierwszorzędných kąpielisk nad Adriatykiem. Był tu również dom gry, tylko prowadzony nie z takim rozmachem, jak w San Remo.

Rimini posiada plażę z ładnego sypkiego piasku, szerokości do 100 m. Charakterystyką tej plaży jest łagodne zejście w morze, tak, że w odległości do 500 m od brzegu głębokość nie przekracza półtora metra. Jest to idealne miejsce dla dzieci, gdzie przy brzegu, pod okiem rodziców, śmiało mogą wyprowadzić swoje igraszki. Temperatura wody u brzegu waha się od 25—26 stopni C.

Należy wymienić również Riccione i Cattolica — dwie miejscowości leżące w pobliżu Rimini, gdzie szerokie, dochodzące do 200 m plaże i płytkość morza ściągają licznych czasowiczów, a położone w bliskości morza malownicze hotele i pensjonaty zapewniają zupełną wygodę. Przed wojną często bawili w Riccione Mussolini i kanclerz Austrii Dolfus z rodziną, który był gościem dyktatora Włoch.

Perła Adriatyku

Niesposób wyliczać wszystkich miejscowości kąpieliskowo — letniskowych, w które obfituje Riviera i Adriatyk. O każdej z nich można by coś powiedzieć, każda ma jakąś właściwą sobie oryginalność.

Należy także wspomnieć o „perle Adriatyku” — Wenecji, o której mówi Gabriel d'Annunzio, że „zrodzona jest z morza”. Tam to znajduje się słynne Lido Weneckie, gdzie odbywają się rokrocznie festiwale filmowe, które ściągają ze wszech stron świata słynnych artystów i artystki X wieku, sławnych reżyserów, znanych producentów i potentatów filmowych i liczne zastępy miłośników sztuki i filmu. Wówczas nie tylko Lido, ale i cała Wenecja przybiera odświętny wygląd.

Poczynając od kwietnia zaczynają napływać na Lido letnicy Wenecji. Czarowny widok przedstawia plażę w dobie pełnego sezonu, kiedy zjeżdża się wylotowe towarzystwo z całego świata, aby używać w pełni przyjemności, jakie może dać plaża włoska. Nie na próżno więc plażę „perły Adriatyku” jest perłą wśród plaż.

Na zakończenie kilka słów o sportach wodnych, które tak są we Włoszech rozpowszechnione. Każda miejscowość kąpieliskowa posiada swoje odrębne atrakcje wodne. Na Rivierze w San Remo i Rapallo odbywają się regaty łodzi żaglowych, mecze piłki wodnej (waterpolo) — w Alasio rega-



San Remo — Kasyno gry

ty wiosłarskie i żaglowe, zawody motorowych łodzi, w Grado (wybrzeże Adriatyku) — regaty żaglowe i motorowe. Znaną są regaty urządzone na Lido (żaglowki) i tradycyjne na Kanale Wielkim (gondole), które należą do głównych atrakcji specjalnie w czasie Międzynarodowego Festiwalu Filmowego i Festiwalu Sztuki. Dużą popularnością wśród turystów cieszą się akrobacje na deskach, ciągniętych na linach przez łódź motorową (rodzaj skjøringu).

STANISŁAW BĄKOWSKI

CZAS LECI...

Już tylko o trzy lata
od Ciebie, Ojcie, jestem młodszy.
Czas leci jak ten ślepy wiatr,
przed pędem którego teraz białe kształty brzoź
daremnie uciec pragną
i który, nadlatując, w śmiertelny wprawia lęk
pionową łakę winogrodu.
Czas pędzi i swoim oddechem
365 dni co roku
przekręca na zegarze mych lat.
Ale ja liczbom walkę wydałem,
z każdą wiosną umacniany
zielonym drzewem zmartwychwstaniem.
Kiedyś, już chyba znacznie starszy od Ciebie,
gdy spotkam Cię po tamtej stronie,
opowiem Ci o wszystkim
czego nie mogłeś już dożyć.

Dr JERZY MŁODZIEJOWSKI

POCHWAŁA ROZTOKI

Jesteś w Tatrach. Siedzisz w autobusie PKS i za chwilę zjeździsz na zapyloną szosę przy moście na „Wodogrzmotach”. Turyści i spacerowicze niedzielną pojadą dalej po serii „ochów i achów”, wydanej nad spienionymi bryzgami białej, kryształowej wody o pół setki metrów pod ich miejskimi stopami. Autobusy stękną przeciągle i warcząc ponuro uwiozą ceprów dalej a ty z wyładowanym plecakiem i jeszcze dwiema papierowymi torbami z chlebem i czerstwymi ząbkami sam na szosie. Nie sam, bo tuż obok zakrętu przy ciemniejącym lesie tkwi schylony Soczak — droźnik, który tu od lat nie-

pamiętnych mieszka i szosowe dziury raz wraz żwirami i drobnym piargiem lata i reperuje. Bo ta „cesarka” jest już bardzo a bardzo sfatygowana. Setki tysięcy autobusowych kół gniebi ją od lat wielu a dudków na solidniejszą reperację nie widać z Warszawy. No i tak ją Soczek i inni jemu podobni na całej trasie tych 31 kilometrów zatykają czym się da. I wegetuje szosa, wkomponowana białym pasemkiem w ciemno zieloną dolinę Białki. Niesamowicie idylliczny jest jej widoczek, gdy patrzysz gdzieś od Karbiku we Włoszynie o pogodnym zachodzie słońca w doły. Jakies pudełeczka od zapalek suną, niby mówki po wstążeczce. To pojazdy z ludźmi i cepami. Cicho zupełnie. Chyba że od czasu do czasu dźwięk niby dziecinnej trąbki zadzwoni od takiego pudełeczka i dojdzie do ciebie, przecyszczonego tysiącami metrów wznieślenia. Bo ty stoisz u gardła mroczonego zlebu o tysiącach metrów nad Wodogrzmotami i patrzysz ponad szosę — wstążeczkę ku Lodowemu. Bliższy on dziś twych oczu aniżeli go widział gązda na Harendzie Jan Kasprowicz w owe niezapomniane chwile pisania „Księgi ubogich”. To właśnie ty jesteś owym ubogim. Ubogim w nieprzebrany skarb tatrzański. I jeszcze ktoś szczęśliwszy od ciebie? A choćby i teraz, gdy nie po szczytach wysokich i granicach podchmurnych stąpasz a stoisz przez chwilę prawie sam na moście wodogrzmotkim...

Pomiędzy dwiema metalowymi barierkami jest rozstęp w lewej strony szosy. Za tym rozstępem rosną maliny, które ci sprzedawać będzie ten sam Soczek po blahej cenie. I weźmiesz je jeszcze w obładowane łapy. Będzie deser na kolację w Roztoce... Co to takiego, ta Roztoka? Hej! Przyjacielu! Toż ty kawała historii kulturalnej Polski nie znasz, gdy o Roztoke pytasz! Wiesz, że Roztoka, to mała polanka u stóp Czuby. Czuba nie jest żadnym zwiedzającym szczytem, choć widok z niej poprzez wierchowce rosochatych smreków rozległy i wspaniały. Czuba — to po prostu zakończenie ostrożnicy (by się nie poślizgnąć na wąskiej ścieżce) schodzić coraz niżej w las. Wije się ścieżeczka i misternymi stopniami wokoło dołków leśnych, zarosniętych paprociami i poduchą zielonego mchu sprowadza cię do otwartej furty drewnianego plotu. Otwarta jest zawsze podobnie jak taka sama jej siostra u dalekiego, dziś już nie istniejącego dworu w Soplicowie-Czombrowie... bo gościnną i wszystkich w gościnę zaprasza. Już się twe łydki nie „zrywają”,

bo jesteś na dnie polanki. To właśnie ta Roztoka. Ale ukoronowaniem jej wdzięku jest drewniany domek w stylu góralskim, stojący do ciebie bokiem a przodem, twarzą niejako ku najpiękniejszemu chyba widokowi w Tatrach: na Młynarza, Zabie Szczyty i Niżnie Rysy wraz z zawieszonym nad Doliną Białki projektem Doliny Zabich Stawów Białczańskich. Widzisz teraz poprzez smukłe szczytiki młodzieży smrekowej te fioleto-szare zwalę granitowe, lekko słońcem na pomarańczowo ubarwione aie na nie nie patrzysz z uwagą, gdyż spieszysz na należne ci miejsce noclegowe w schronisku. Jesteś przecież członkiem poznańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, opłaciłeś roczną składkę, masz u klapy marynarki przyśrubowaną odznakę swego „PeTeTu” i w ogóle jesteś gazdą. Pierwszeństwo w schronisku do ciebie należy, bo to „tvoj” budynek, za twe składki przed wielu laty wystawiony i teraz sumiennie „doprowadzany” systemem krakowsko-zakopiańskim: tu deseczka, tam podpora, ówde żerdka i wszystko jakoś się słowa honoru i powierzchni ziemskiej trzyma.

No i jesteś w „Roztoce”. Cudzystów konieczny, bo miejsce jedyne w świecie, nie tylko tatrzańskim. Tu kiedyś gazdował Bartuś Obrochta, później Bigos kierpcę tu wyrabiał, Mirosław Chłapowski szalał z „Kapuha”, pani Grabowska znakomite kotlety sporządzała... Wszędzie na werandzie z ławkami i stołem na krzyżakach, przekroczyłeś drzwi, nad którymi od wewnątrz sławny napis: „Czy musisz chodzić w górę?” W mrocznej sali drzemie w kącie kontuar, za którym donna albo facet zapiszą numer twej legitymacji i odebrasz uciulane w Poznaniu dudki — pieniądzy za nocleg wskażą miejsce „spalne”. I tu już sobie gospodarzysz, jak chcesz. Na półkach rozkładasz puszkę z konserwami, skłębnięty plecak rzucaś pod „zagłówek”, zdejmujesz buty i wkładasz pantofle. Teraz zabierasz pod pachę mapę Tatr Zwolińskiego i schodzisz na dół na wspomnianą werandę. Rozścielasz mapę na stole i wychodzisz na ławkę, by się „podziwiać” na góry. Już są całkiem rubinowe — to „zagłówek” gór, widoczne tylko o wyjątkowej pogodzie. Właśnie taką znalazłeś. I cieszysz się, boś po to tylko tu w Tatrach przyjechał. „Już się zmierzcha, nadchodzi noc...” — jak w motecie Wacława z Szamotuł, co go ze swymi „skowronkami” Stefan Stulgrosz wypiewkuje. Czas na kolację. I zaczyna się misterium o rozkoszy, tylko starym bywalcom tatrzańskim znanej. Gotujesz wodę na herbatę, smażysz jajecznicę, pitrasisz jakąś wymyślną zupkę, przygrzewasz amerykańską wolowinkę z puszką... a wszystko samemu, własnoręcznie. Przecież masz jeszcze z czasów przedwojennych maszynkę spiryusową i zapas denaturatu, więc ci papu smakuje. Po kolacji, rozwalony za stołem siedzisz i z pogardą patrzysz ko za pieniądże kupując w bufecie i placąc, placąc, placąc... a ty nic, tylko tak. No i spać!

I smacznie i nie twardo i nie pluskliwe. Marzysz o wczesnym wyjściu w górę. Bogać tam! Od rana leje i to tak na szaro, że nawet do „Habakuka” bieda wybiec, bo ci za kołnierz należy. Czekasz na pogodę do południa, czekasz do wieczora, czekasz dwa dni, czekasz tydzień, a przez ten czas przeczytałeś od tytułu do słowa „koniec” wszystkie „Wierchy” i „Sprzysiężenie” Kisielewskiego. Nic cię dobić nie zdoła, bo czekasz na pogodę...

Wreszcie zakotłowało się któregoś



Widok z Roztoki ku Młynarzewowi
Fot. dr J. Młodziejowski

Felieton

Patrzac na wahadło Logosu

KIEDY wsłuchujemy się uważnie w rytm politycznych, gospodarczych i kulturalnych dziejów naszego najlepszego ze światów, wyobraźnia podsuwa nam obraz jakiegoś gigantycznego wahadła, które odmierza cykle naszych cywilizacji wolnymi i dostojnymi ruchami.

Kiedy umysł ludzki odgadł tę cykliczną formę dziejów świata, na zdumienie i przerażenie wargi człowieka (a pierwszym takim człowiekiem o którym wiemy, był Ben Akiba) wypłynęło ciche westchnienie zadumania, rezygnacji, bólu i rozczarowania: Węz wszystko to już było? Pogląd, że „wszystko już było” zamącił ludziom jasny tok ich dociekań. To nie był pogląd pozytywny i twórczy. Przeciwnie, przynosił, napał apatię, gasił zapał i pchał w oślizgłe ramiona cynizmu. Bo niby cóż za sens mają wszelkie nasze mrówcze dążenia ku jakimś wyolbrzymionemu celowi, nasze poświęcenia i ofiary, jeśli ten „cel” jest w istocie jedną z drobniutkich kresek — podziałek w amplitudzie wahań odwiecznego wahadła Kosmosu?

I przyroda zdawała się potwierdzać pesymistyczne przepowiednie historyków cywilizacji. „Wszystko płynie, — powiedział Heraklit w V wieku przed Chrystusem. — Zasadniczą właściwością przyrody jest zmienność zjawisk. Najlepszym obrazem przyrody jest rzeka, do której niepodobna wstąpić dwukrotnie: za każdym razem jest to już inna rzeka, inna woda. Natura jest ciągłą śmiercią i ciągłym rodzeniem się, ustawicznym zmienianiem się. Wszelkie światła nie stworzył nikt — konkluduje Heraklit przed 2500 laty — lecz był on zawsze, jest i będzie zawsze żywym ogniem”.

Opis tworzenia się systemu planetarnego światów, podobny jota w jotę do dzisiejszych najnowocześniejszych teorii fizyko-astrofizycznych, dał nam inny Grek, Anaksymander, współczesny wspomnianemu Heraklitowi. Bezkręś według niego — to wieczny rezerwuuar pramaterii. Świat planetowy powstaje z bezkresu. Wieczny ruch, który jest nieodłączny od materii, wylania przeciwieństwa. Pierwotny bezkres, jako zbiornik pramaterii, pełen jest tych przeciwieństw. Najgłośniejszym z nich to zimno i ciepło. Przez obecność zimna i ciepła powstają różne stany skupienia materii, od ciał stałych aż do gazów. Ognista sfera bezkresu (otaczającego nasz dzisiejszy świat) rozzerwała się ongiś, a części jej odrzucone siłą odśrodkową potworzyły ciała niebieskie.

Do tych myśli Anaksymandra wróciła dziś, po 25 wiekach, nowoczesna fizyko-astrofizyka, uzbrojona w najwyśmienitsze przyrządy techniczne i wiedzę matematyczną, czego nie mieli myśliciele starożytni. Anaksymander szedł dalej: twierdził, że to co istnieje — przez zniszczenie obraca się znów w to samo, czym było przed powstaniem.

Domyślał się cyklicznego ruchu owego kosmicznego wahadła, wyrażając to pięknie i po poetycku:

„Jedno drugiemu płaci karą i pokutą za niesprawiedliwość w porządku czasu”.

Starożytna filozofia grecka była całym zamkniętym w sobie światem myśli, z którego czerpiemy i czerpiemy. Wydaje się, że wszystko, co tylko może przejść przez myśl ludzką, zostało tam już powiedziane. Warto może przytoczyć tu nawiasowo opinię prof. Tatar-kiewicz, według którego Grecy stworzyli filozofię, taką filozofię, gdyż mniej zajmowali się własną osobą a więcej światem, gdyż mieli postawę śmiałą i życzliwą wobec rzeczywistości, gdyż byli rozkocharani w jasności i prostocie.

Jeżeli tak dużą miarę przykładu świat współczesny do starożytnej filozofii greckiej, nie od rzeczy może będzie przypomnieć jak oni, Grecy, bronili się przed deprymującymi konsekwencjami przyjęcia myśli, podobnych myślom Heraklita i Anaksymandra?

Tak zwani „mędrcy greccy” z siódmego wieku przed Chrystusem, jak np. Solon i Tales, zalecali następujące wskazania: „Umiar jest najlepszy. Znajdź chwilę stosowną. Rozkosze są śmiertelne — cnota nieśmiertelna. Z wszystkich dóbr życia mądrość jest najcenniejsza, ją obieraj sobie za towarzyszkę od młodości”.

Najpełniej jednak ujął w kłameg optymizmu swe pozorne pesymistyczne rozważania sam twórca wariabilizmu — Heraklit: „Człowiekiem i wszechświatem rządzi LOGOS — rozum. Jest to wielka siła kosmiczna, człowiek ma w niej jedynie nikły udział. Walka przeciwności jest ojcem i królem wszechrzeczy, ale rozbieżne czynniki łączą się i powstaje z nich najpiękniejsza harmonia. Złymi świadkami są oczy i uszy ludziom, którzy mają dusze barbarzyńców. My widzimy same dysharmonie, ale harmonia ukryta wyżej jest od widocznej”.

Czyż nie jest to myśl porwijająca?

Rozum wszechświata LOGOS porusza wahadło naszych dziejów od przeciwności do przeciwności. Ale nie czyni tego bez celu, dla igraszek: rytm poruszeń jest coraz doskonalszy, u kresu leży najpiękniejsza z harmonii, lepsza i piękniejsza od tej, którą możemy sobie wyobrazić za pomocą naszych niedoskonałych zmysłów. Mówiąc obrazowo: każdy nowy ruch wahadła wychyla je więcej w tym co dobre i piękne, i mniej — w tym co złe i brzydkie. Za każdym nowym cyklem część zła odpada, część dobra przybywa.

Ludzkosc oczyszcza się. Każdy nowy ruch wahadła LOGOSU jest krótszy. Nadchodzi czas ustalenia się i idealnej równowagi. U kresu czeka nas nie pełne przeciwności piękno, od którego oddalamy się, ale wypełnione odwieczną harmonią niebo, ku któremu kroczymy.

ZYGMUNT JASKI

W nr 6 „Twórczości” pojawił się artykuł A. Grzymały Siedleckiego n. t. twórczości Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Na zakończenie swych niezwykle interesujących rozważań A. Grzymała Siedlecki opisuje smutne okoliczności tragicznego zgonu poety. Jako echo tych bolesnych wspomnień zamieszczamy niepublikowany dotychczas, zapewne nieznany wywiad z Tetmajerem, przeprowadzony w ostatnich dniach czerwca 1939 r.

Dzień był słoneczny. Przemyskałem się cieniem wzdłuż Now. Świata i Krak. Przedmieścia, nie licząc w zasadzie na to, że przypadkowy swój pobyt w stolicy zakończyć będę mógł wywiadem — wywiadem z 74-letnim Janem Kazimierzem Przerwą-Tetmajerem, którego sława przyćmiona wieścią o umysłowej chorobie i nie wznawiana nawet z okazji Święta Gór — dawno była przebrzmiała.

Byłem bardzo zdziwiony, gdy mi portier w Hotelu Europejskim podał numer (zdaje się 323) pokoju z zawiadomieniem, że Tetmajer czeka. Pamiętam dobrze fotografię w starym „Tygodniku Ilustrowanym” przedstawiającą poetę na zwalonej kłodzie w górach obok Krzysia i Sabaty. Gdy po zapukaniu zobaczyłem zwiędłego, małego starca, leżącego w czarnym surducie na łóżku, zrozumiałem, że moja obecność w pokoju poety na trzecim piętrze Hotelu Europejskiego powinna się zmienić w dyskretną, krótką wizytę złożoną w uwielbieniu sędziemu piewcy Młodej Polski. A jednak Tetmajer wzywał i godził się udzielić wywiadu.

Tego dnia poeta czuł się lepiej niż zwykle. Po raz pierwszy od dwóch lat miał odbyć spacer i czekał właśnie na dorożkę. Po lewej stronie od wejścia w małym pokoiku stała szafa, dalej stół, lustro, przy oknie naprzeciw wejścia mały stolik z aparatem radiowym w narożniku. Na ścianie święty obrazek zastawiony przez znajomego księdza.

Zapatrzone przed siebie, oszczędnym ruchem wyschniętej ręki Tetmajer częstował świeżymi chereśniami. W pokoju była jeszcze pełniąca rolę gospodini i opiekunki p. Maria. Rozmowa często, gdy Tetmajer tracił wątek, odbywała się za jej pośrednictwem.

Pytałem Tetmajera o jego sąd o współczesnej poezji. Nie mógł mi udzielić odpowiedzi. Nie znał i nie czytał. Nie mógł czytać, jak się miałem przekonać później, za następnym u Niego pobytem. Chętnie natomiast mówił o poezji dawnej.

„Ja należę do ludzi starych i przeszłych” — zanotowałem Jego zdanie. Ożywił się gdy rozmowa zeszła na tematy podhalańskie. Mówił pięknie zbudowanymi zdaniem o czasach zakopiańskich, o cudownym dialekcie góralskim, o Janosiku, jak o bliskim swoim znajomym. Wspominał o Chałubińskim i Witkiewicz. Innych jakby sobie w ogóle nie przypominał. Milczał gdy pytałem o Jego kuzyna Boy’a Zelenkiego.

„Wiem tylko o moim genialnym bracie” — mówił o Włodzimierzu Tetmajerze. Wychwalał jego talent malarzski i poetycki. Bładał nad pokoleniem młodo-polskim, które przy kielszku traciło swe sily.

Dłuższa rozmowa męczyła poetę. Odpowiadał urwanymi zdaniem, wa-

żył słowa, milknął. Podchodziliśmy wówczas do okna, na którym rozspano okrucy dla ptaków. P. Maria informowała, że rzadko kto bywał u Tetmajera. Czasami ktoś z dalszej rodziny. Poeta korzystał z bezpłatnie przydzielonego przez dyrekcję Hotelu Europejskiego jednoosobowego pokoiku. Pewne dochody czerpał z honorariów autorskich i należności za recytacje w radio. To wystarczało na jego skromne życie.

Przed odejściem wspominałem Tetmajerowi, że interesowałem się kiedyś specjalnie jego twórczością liryczną. Mam egzemplarz pracy w maszynopisie. Prosił, by go następnym razem przynieść.

Był tak samo piękny, ostatni dzień czerwca 1939 roku. Tetmajer, mimo że niewiele dni upłynęło od ostatniej rozmowy, jakby mnie nie poznawał. Miałem się wkrótce dowodnie przekonać o przyczynach.

Gdy nawiązaliśmy rozmowę do danej za pierwszym razem obietnicy wręczyłem Tetmajerowi duży, oprawny egzemplarz pracy. W tej chwili miałem się przekonać o popełnionych własnych błędach, gdy pytałem się o najnowszą twórczość pisarską, gdy spodziewałem się, że Tetmajer po trzech czy czterech dniach przypomni sobie pierwszą wizytę i nawiąże do przerwanej rozmowy. Poeta tymczasem wziął tylko egzemplarz do ręki i końcami palców badał jego rozmiary, poczem oddał mi go z powrotem. Kazimierz Przerwa-Tetmajer był niewidomym starcem.

W czasie rozmowy tego dnia poeta



Obraz Rubensa w kościele św. Mikołaja w Kaliszu. Niezbyt pewna autentyczność.

— Pani Mario! Niech Pani będzie łaskawa zadzwonić do Gebethnera i Wolffa i zapytać. Oni tam muszą wiedzieć co ja napisałem.

Zdawało się, że w słowach wypowiedzianych z całą naturalną przytomnością umysłu nie było nic, co by przez starczego zaniku pamięci, miało zdradzać ślady umysłowej choroby. Był to jednak, jak się okazuje z perspektywy znanych nam dzisiaj szczegółów, moment jeszcze bardzo szczęśliwy i rzadki. Prawdziwe lucidum intervallum.

Według danych opublikowanych już po wojnie (B Szarlit „Twórczość” nr 10) Tetmajer w ostatnich 20 latach życia cierpiał na zanik pamięci i zaburzenia stanu umysłowego. W pierwszym okresie choroby, jeszcze za pobytu w Krakowie, podejrzewano Go o lues, choć poeta temu zawsze i słusznie — zaprzeczał. Właściwą przyczynę ujawnił dopiero tragiczny zgon w 1940 r.

W jednym z szpitali warszawskich ciało zmarłego poety znalazło się wówczas wśród przeznaczonych na sekcję zwłok. Dopiero przy czepionej karteczka z napisem „Kazimierz Przerwa-Tetmajer” zwróciła uwagę polskiego personelu, że zmarłym jest wielki i zapomniany poeta. W czasie dokonanej sekcji odkryto pod czaszką złośliwy tumor wielkości kurzego jaja. W rozwoju tego nowotworu dopatrywać się też należy obserwowanych od 20 lat śladów choroby.

W słoneczne dni czerwca 1939 r. poeta zapragnął jeszcze odbyć spacer dorożką wzdłuż gościńskich ulic Warszawy. W r. następnym 1940 miał obchodzić w dniu 12 lutego swą 75 rocznicę urodzin. Nie doczekał. Wojna wpisała Go jako jednego z największych poetów polskich na tragiczną listę strat.

A. W. WALCZAK

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

„Panie wójcie czy słyszcicie?!“

Jest słodki zmierzch letni.

Powietrze pachnie rozgrzaną ziemią i usypiającymi w rosie łąkami.

Nad poszarzałymi wodami stawów rozlega się głuchy szum komarów. Sady, spowinietę ciemnością, drżą od nieustannego rytmu wieczornego życia królestwa trawy.

Przez świat płynie ciepłe tchnienie nocy, która nadchodzi wraz z pocztowym księżycem, który wysuwa się już powoli i uroczyście olbrzymią, miedzianą tarczą, ponad falistą linię horyzontu, drgającego zbożem, rozkołysanym w cichej muzyce marzącego odpoczynienia.

Jest pięknie.

Cudowne, nocne kształty rzeczy, tajemniczy mrok gęstniejących w zmierzchu wód, ów romantyczny księżyc i nieprzebrana, letnia radość życia, śpiewający razem o niewyjawionej myśli i cudzie stworzenia.

We wsi tętni podniecony gwar. Po ogródkach, rozłożonych opodal każdej chaty, pełno goniących dziewczuchy chłopaków: Słychać ostre, zmysłowe napięcie śmiechu. Przez drogę, splecioną na twardy, kruszący się placek, przeciągają czasami wolno jakaś zblakana furmanka z pocziwym, zasiedziały głęboko w wozie chłopem, oglądającym się na wieś i ludzi z senną ciekawością.

Przed olbrzymim czworakiem o świeżo wycielonych ścianach, na starych, wkopanych w ziemię ławach i na progu otwartych drzwi, siedzi cała stateczna wieś. Patrzają ludzie z poważnymi minami na granatową płachtę nieba, zwisającą w nieogarnionej rozpiętości z dalekich, nieskończonych głębin.

Tam w oddali falujących, niebieskich mroków widnokręgu, poczynają się już palić gorącymi światełkami, dobrotnie gwiazdy.

Starce, wiedzące oczy zawisają w niejasnej tęsknocie na tych migotliwych punkcikach, młode zaś patrzą z wyzywającą ciekawością, czując w piersiach słodki pęd, co podnosi w zwycięskim odetchnieniu prężne żebra, pęd młodego życia. Stara myśl wije się w rozmyślającym zastanowieniu z przebiegłą ostrożnością doświadczonego wieku po nieobjętych rozłogach.

Wyobraźnia młodości tworzy tam nieokreślone wizje, których przyczyną marzenia twórcze, chłonnego nowości ze świata, młodego organizmu.

O kilkadziesiąt kroków od czworaka zaczyna się wysoka, złota ściana dojrzalego zboża. Ciągnie stamtąd ciężki omdlewający zapach. Jest to słodka woń kłosów, rozgranej przez niedawny żar słomy i dyskretnie marzący powiew chabru, ukrytego w głębi sztywnej, pyszniącej się swą urodą ściany żyta.

Nazajutrz rozpoczyna się żniwa.

Wśród siedzącej w zapobiegliwym odpoczynku wsi zalega przyjemna cisza frasośliwego namysłu i jakiejś prastarej, kontemplacyjnej radości.

Pykają fajki mężczyzn. Ich oczy obejmują przedsięwzięcie polać dojrzalych zbóż. Baby przytulnie chył się do władczych ciał mężów i zdają się zupełnie na ich wolę. Ogniki fajek raz wraz migocą rozrzucając w niebieskawym, niedojrzanym mroku, zwisającym strzępiastymi kłębami, spod szerokich okapów.

Na skraju w oddzielnej gromadzie

stoją dziewczuchy z parobkami. Gadają gupstwa, chichocą rehotliwie co chwila i oglądają się na sładkie niebo, lub uroczyście zamyślonych starych. Raz wraz wybiega stamtąd pojedyncza para i goni się w przekomarzaniach w głąb wsi.

Skłębione ogrody grają namiętym tętnem nocnej miłości.

Wiesi siedzi przed czworakiem i paltry przed siebie w rozważaniu.

Jest i stary, folwarczny stróż Mateusz.

Przed odejściem na podwórze, usiadł na chwilę, na kamieniu, by odprawić ten urzędowy podziw nad ważnością nadchodzącego momentu. Zapalił fajkę, ręce obie oparł na sękatym kijku i patrzył przed siebie okiem lojalności w stosunku do ogólnych zainteresowań.

Na ławie, w pobliżu niego, spoczywało dwóch krzepkich gospodarzy z babami pośrodku. Na innych widać było twarde, upracowane twarze wielu mężczyzn i suche, przejęte, zapobiegliwe kobiety.

Mateusz, wysypawszy popiół z fajki, obstukiwał ją z ostrożną energią o kamień i odezwał się do najbliższych chłopów konfidencjonalnie.

— Obrodziło, chwała Bogu, niezgorzej!

— Obrodziło, bo obrodziło, ale kości nagiąć też trzeba niezgorzej!

— Ba, bogać! Bez pracy nie ma kołaczy!

— Latoś daleko lepsze, niż łońskiego roku. Zeszłygo to nawet nie było co kości!

— Bo prawda! U mnie zmarniało prawie wszystko z kretesem. Dla wyżywienia inwentarza i ludzi trzeba było jeszcze kilka korczyków dokupić.

— Paskudny rok to był, nie ma co! A bo też lato, to lato. Cały czas. Zaczęło na wiosnę o siewie, a skończyło szczerym wzruszeniu i uważnie objął

się dopiero na jesień. Jakby na złość i na odwrót — mówił skarżącym, flegmatycznym głosem Mateusz, obojętnie kierując oczy na chichoczącą głośno dziewczuchę, która z rozchełmianą przez chłopaków bluzką, jeszcze dysząc ze zmęczenia, stała oparta swobodnie o coraz bardziej w mroku bielejącą ścianę chaty.

— Za to teraz, Janie! — ciągnął dalej stróż — będzieta mogli nawalić zboża do stodolisk. Żyto, jak bór!

Jan nie bardzo lubił, gdy wychwalano jego bogactwo i powodzenie.

— Zboża będzie, ale i wydatków kupa! Wita, Mateuszu, co to teraz wszyc ko kosztuje!

— Ale! — zauważyła, dotąd w milczeniu przysłuchująca się kobieta. —

— Prawde mówię, jakim była w zeszły piątek w mieście, by memu nabrać na te portki, bo stare spapały już do cna, to chcieli za to prawie tyle, co za korczyk żyta. Widzieliśta, ludzie — za korczyk żyta — jeno portki. O, wydatki są, są!

— Kto ich ta teraz nie ma! — odezwał się wielki kudłaty Piotr, najmocniejszy chłop we wsi. Oparł się ciężko plecami o ścianę. Przez rozpiętą marynarkę i koszulę wyglądała jego wlochatą pierś. Przytulony bokiem do swej wątlej baby, czuł idące od niej ciepło i woń niedawno udojonego mleka i rozmarzonymi oczami patrzył na coś istniejącego daleko w niebieskiej głębinie nocnego firmamentu.

Mateusz przez chwilę dumał nieco kważno i filozoficznie i wreszcie odezwał się na inny temat.

— Przechodziłem obok Zawlecia. I tam żyto galante. Nie gorsze od naszego! Będą miały chłopcy wszędzie dobry plon. Byleby tylko Pan Bóg dał jak najdłuższej pogody! — westchnął nagle w

spojrzeniem rozpinającą się kopulasto przestrzeń nieba.

Chłopi westchnęli również za nim jakby na komendę i poruszyli się niespokojnie. Przypomniała się im nieustanna, nerwowa troska rolnika.

— Może Pan Jezus i Matka Jego będą choć na ten rok przez cały czas łaskawe! — pokornie a zgodnie uzalili się baby.

Na niebo wznosił się już wysoko księżyc.

Okolica zajaśniała mistycznie zielonym blaskiem. Tysiączne żółta zboż poruszały się sennie i chwiały się idące bezustannie w dalekość luno lśnienia.

Ogród ożywił się. Między pniami drzew zarysowały się srebrne, zaczerwiane polanki. Pasma księżycza kładły się długimi, rozedrganymi smugami na puszystej murawie. Blask jego opływał mchem porośnię, pomarszczone pnie, kładł się sennymi ruchami na zwisających w omdleniu listkach. Z krzaków, zanurzonych w widno zielonych i mleczno srebrnych lunach szły ostre wonie nocnej rosy. Słychać tam było nieśmiało ćwierkoty ptaków. Lekko złotawe tony ścieliły się na uschłej na placek, białej drodze. Cienie ciągnęły się przez nią tu i tam miękko, w poprzek i zwisły do stawu o ciepłej wodzie, skąd szły przyjazne tchnienia.

Miesiąc zaglądał zalotnie w przejrzyste zwierciadło, na którego dnie odbijały się gwiazdki i dziwne tajemnice nieba, lećcające w nieskończoność. Cicho, z patriarchalną powagą stały niedaleko wody drewniane stodoły o szerokich, wysokich i bardzo śpiczastych dachach. Cień ich padał na urokliwe wody stawu i zaglądał ciekawie w tajemniczą, przepastną głąb.

Nie wiadomo w którym miejscu kryzyla na całe gardło oszalałe z ukontentowania żaby. Nad całym zaś świa-

Ale Artur strzelał, jak młody bóg. Pobił wszystkich współzawodników. Został bezapelacyjnie zwycięzcą.

Podszedł do podium, aby z rąk szeryfa odebrać jeszcze jedną, najcenniejszą nagrodę.

Nie mogąc podjąć żadnej decyzji, szeryf zarzucił zwycięzcy na szyję grubo złożony łańcuch.

Tłum wiwatował na cześć Artura.

Wręczywszy nagrodę, szeryf skinął na oficera.

— Nie chcę, abyście schwytali go tutaj. Ale nie spuszczaście z niego oka. Przypilnujcie i, gdy nikt nie będzie widział, zwiążcie i dostawcie na zamek. Weź kilku ludzi. Nie pójdzie wam z nim łatwo.

Pełen niepokoju opuścił plac zawodów i wrócił do zamku. Niecierpliwie czekał na wiadomość o wykonaniu swych rozkazów.

Sporo jednak czasu minęło, nim wysłany oficer wrócił z raportem. Był w dość smutnym stanie. Miał twarz owiniętą pokrwawioną szmatą i przewiazaną rękę.

Szeryf zerwał się od stołu:

— Macie go?!

— Mamy, wasza wielmożność. Ale drogo nas to kosztowało. Kilku żołnierzy podziurawił, jak sita. Dwu wyzionęło ducha, dwu nie wiem, czy wyżyje, a jeszcze czterech i mnie — wskazał na twarz i rękę — porządnie ten bandyta nadwerekł. Bronił się jak wściekły pies. Przywaliliśmy go tylko siłą.

— Dawajcie tutaj tego łajdaka! — wybuchnął szeryf. — Odpowie teraz za wszystkie grzechy naraz.

— Wasza wielmożność — nieśmiało wtrącił oficer. — Ten bandyta to jednak nie Robin Hood.

— Ha! — ryknął szeryf. — Nie Robin Hood?! Ale na pewno należy do jego bandy.

Wprowadzono powiązanego sznurami, pokrwawionego i pobitego Artura.

Próżno tłumaczył się, że został napadnięty. Mieczą dobył w obronie życia. Był pewien, że żołnierze chcą go ograbić ze zdobytych na turnieju cennych nagród.

Szeryf szalał.

— Jeśli nie jesteś Robin Hoodem należysz na pewno do jego szajki. Jesteś bandytą. Zresztą zabiłeś dwu moich ludzi. Dasz za to głowę!

Artura wrzucono do lochu. Poddano go torturom. Nie można było dowieść mu, ani wymusić zeznania, że jest bandytą, ale to nie uspokoiło szeryfa.

— Musi wisieć. Inaczej będzie naśmiewał się ze mnie.

Kazał ogłosić w mieście, że schwytano bandytę z szajki Robin Hooda i skazano go na śmierć przez powieszenie. Egzekucja miała się odbyć za dwa dni, na wzgórzu pod miastem. Ustawiono tam mocną szubienicę, widoczną z daleka.

Ktoś z przyjaciół miejskich doniósł o tej historii Robin Hoodowi do lasu.

Robin uśmieł się najpierw z omyłki i z bezsilnej wściekłości szeryfa, ale później zasepił się poważnie.

— Właściwie ten biedak zginie z mojej przyczyny. Bo przecież gdyby szeryfa nie prześladowało widmo Robin Hooda, nie kazałby więzić Bogu ducha winnego wojaka. Nie doszłoby do bitki, no i żołnierz nie zabiłby strażników. No, i nie byłoby powodu do wieszania go za zabójstwo we własnej obronie. Wieszają go, bo uważają, że jest on moim towarzyszem.

— Nie pomożesz mu nic martwieniem się — próbował pocieszyć wodza Ryszard.

— Masz rację! Tym nie pomogę. A pomóc trzeba. Powinienem! Muszę pomóc biedakowi.

— Nie urządzisz przecież napadu na miasto!

— Dlaczego nie?

— To szaleństwo!

— Warto zaryzykować, aby ocalić życie takiego zucha.

Robin chodził niespokojnie po polanie. Tarł ręką czoło. Myślał coś i kombinował.

— Kiedy odbędzie się egzekucja? — spytał chłopca, który przyniósł wiadomości z miasta.

— Jutro koło południa — odparł posłaniec.

Robin skrzywił się niechętnie.

Sytuacja nie przedstawiała się prosto.

W obozie było nie więcej, niż dziesięciu ludzi. Porywanie się z taką siłą na potęgę szeryfa nie miało żadnych szans.

Zanim zbierze się większą liczbę towarzyszy, którzy są rozsypani po różnych wioskach i pomagają wieśniakom w pracy, minie tyle czasu, że wszelka pomoc będzie już niepotrzebna.

— Spróbujemy! — zakończył swe rozmyślenia Robin. I wydał rozkaz Ryszardowi. — Skrzyknij wszystkich ludzi, którzy są w obozie. Niech gotują się do drogi.

Ryszard wzruszył ramionami, ale, jak zwykle, karnie poszedł wykonać rozkaz wodza.

Na drugi dzień koło południa w Nottingham rozpoczęła się ponura uroczystość. Szeryf, przeczulony na punkcie obawy przed Robin Hoodem, nakazał przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności. Za żadną cenę nie chciał dopuścić, aby coś przeszkodziło wykonaniu niesłusznego wyroku. Choćby Robin Hood zebrał całą swą leśną potęgę, nie potrafiłby pomóc skazanemu.

Już na godzinę przed wyznaczonym czasem wymaszerowała z miasta setka uzbrojonych żołnierzy. Obstawili oni dookoła wzgórze gęstym łańcuchem, aby nie dopuszczać żadnych gapiów w pobliże szubienicy. Z miasta pobiegło wprawdzie za nimi sporo gapiów, aby przyglądać się widowisku, ale nikogo nie dopuszczano poza łańcuch straży.

Następnie przywieziono skazańca. Na wozie, zaprzężonym w parę dobrych koni, Artur siedział w towarzystwie zakonnika. Za nim stał kat z pomocnikiem, a kilku uzbrojonych żołnierzy pilnowało, aby więźniowi nie przyszła do głowy myśl ucieczki. Było to wprawdzie bardzo mało prawdopodobne, ponieważ skazaniec ledwie trzymał się na nogach. Tortury, jakim go poddano, chcąc wymusić zeznanie, powykreślały mu ręce i nogi ze stawów, wyczerpały i nadwątlily siły.

Dopiero w jakiś czas po przejeździe katowskiego wozu, w bramie miasta ukazał się szeryf na czele orszaku jezdnych. On i jego świta przybrana była bogato, błyszczała od złota i cennych klejnotów.

Zebrany tłum gapiów przyglądał się tej wspaniałości z podziwem i zazdrością. Rozpoczęła się ponura uroczystość.

Sędzia z orszaku szeryfa ogłosił podniosłym głosem wyrok „w imieniu jego królewskiej mości“, skazujący Artura Obieżyświata na karę śmierci przez po-

wieszenie za przynależność do bandy Robin Hooda, za napad na strażę szeryfowskie i zabójstwo dwóch żołnierzy króla.

Artur, wspierany przez zakonnika, zszedł z wozu. Ale nie mógł utrzymać się na nogach. Pomocnik kata musiał go wziąć pod ramię z drugiej strony i wspólnie z zakonnikiem prowadzili chwiejącego się skazańca pod szubienicę.

Naraz w tłumie gapiów zaczął się jakiś niespokojny ruch, rozległy się jakieś wykrzyki i nawoływania.



Napad... na zamek... przerywanym głosem wyrzucał ze siebie posłaniec

Szeryf niespokojnie spojrzał w tamtą stronę. Strach czał się w jego oczach. Mimo otaczającego jego orszak wojska nie czuł się pewnie, jakby czekał na jakieś niemiłe niespodzianki.

Dojrzał biegnącego co sił od strony miasta człowieka. Biegnący krzyczał coś, machał rękami.

Wszyscy zwrócili wzrok w tę stronę.

Tłum rozstał się przed biegnącym. Przepuścił go łańcuch straży. Dysząc ciężko biegł na wzgórze, kierując się w stronę orszaku szeryfa.

— Gdzie szeryf? Gdzie szeryf? — wołał.

— Co się stało? — zapytał lekko drżącym głosem szeryf, wysuwając się z koniem ku niemu.

— Napad... na zamek... — przerywanym głosem wyrzucał z siebie posłaniec.

— Robin Hood... z całą bandą.. napadł... morduje strażę.. zdobył zamek.. niszczy... grabi... pali...

Wskazał ręką ku miastu.

Szeryf, a za nim wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Nad zamkiem wystrzelały języki ognia, wznosiły się ciemne obłoki dymu.

— Pożar... zamek w ogniu... — wykrzyknął tłum.

— To Robin Hood... z całą bandą... mści się... — wyrzucał z siebie zadyszany posłaniec.

Szeryf zdarł konia.

— Do mnie! Cały oddział do mnie! — zagrmiał wielkim głosem. — Ściągnąć wojsko i prowadzić biegiem do zamku.

— A egzekucja? — spytał nieśmiało sędzia.

— Ty jej dopilnuj! Zostawiam ci dziesięciu ludzi. Ten opryszek musi być powieszony. Nie uda się im ocalić bandyty.

W przeciągu kilku minut wojsko otaczające wzgórze zostało ściągnięte i cały oddział biegiem ruszył ku bramom miejskim. Szeryf z orszakiem jechał na przdzie.

— Przystąpmy do wykonania wyroku — ogłosił uroczyście sędzia i skinął na kata. — Wieszajcie skazańca.

— Stój! — krzyknął nagle człowiek, który przyniósł z miasta fatalną wieść. — Zamiast niewinnie skazanego powiesimy niesprawiedliwego sędziego.

Skoczył do durnego dygnitarza i, schwyciwszy go za nogę, jednym mocnym ruchem ściągnął go z konia na ziemię.

Jak na umówione hasło z tłumu gapiów wyskoczyło nagle kilku ludzi. Sprawnie rzucili się na ogłupiałe straża. Nim tłum zdążył się zorientować, o co chodzi, strażnicy zostali rozbrojeni, obezwładnieni i powiązani. Atak zaskoczył ich całkowicie. Nikt z tłumu nie pospieszył im z odsieczą.

Posłaniec, który przybył z miasta i wywołał całą katastrofę, skoczył tymczasem na wóz i wołał zwracając się do tłumu:

— Słuchajcie, wierni poddani króla Ryszarda! Robin Hood wymierza teraz prawdziwą sprawiedliwość. Zwalniam od winy i kary tego niewinnie skazanego. Na jego miejsce rozkazuję ci, kacie, powiesić na szubienicy za nogi kłamliwego, oszukańczego i przewrotnego sędziego. Niech, wisząc głową na dół, rozmyśla nad swoją nieprawością.

Kat ponaglan przez dwu ludzi, którzy byli po prostu przebranymi towarzyszami Robin Hooda, skwapliwie wykonywał rozkaz i podciągał za nogi na szubienicę skamlącego piskliwie o litość sędziego.

Ryszard podszedł do Robin Hooda.

— Ten człowiek ledwie trzyma się na nogach. Nie będzie mógł uciekać z nami. Przecież nie możemy go zostawić.

— Wsadźcie go na wóz. I wszyscy siadajcie. Musimy wyrwać bardzo szybko, bo cała banda niedługo tu może wrócić — roześmiał się Robin.

Kat ukończył swe zajęcie. Towarzysze Robin Hooda załadowali szybko na wóz odebraną żołnierzom broń i sami wskoczyli nań szybko. Jeden z nich chwycił lejce.

— Niech nikt nie ośmieli się zdjąć z szubienicy tego łajdaka! — krzyknął jeszcze Robin Hood do tłumu.

Konie ostro ruszyły z miejsca i katowski wóz, wyładowany nowymi pasażerami, potoczył się szybko ze wzgórza na drogę, wiodącą do lasu.

Łuna nad miastem opadła szybko. Dymy rozwiały się.

— I już po napadzie. I już po pożarze! — śmiał się Robin Hood. — Szeryf będzie wściekły. A niesłusznie. Powinien się cieszyć że zamek nie jest rozgra-

biony, że zamiast zamku spaliły się tylko trzy stogi siana pod miastem... Mam nadzieję, że Ben, który tak w porę urządził ten pożar, będzie już na nas czekał gdzieś po drodze w lesie.

Szeryf, rzeczywiście, zalał. Pochorował się nawet ze złości i ze wstydu, że dał się wyprowadzić w pole.

Ale stogi ustawione były akurat za zamkiem i pożar ich wyglądał tak, jakby naprawdę cały zamek stał w płomieniach.

Wielkie było zdumienie pozostałych w zamku strażników, gdy niespodziewanie szeryf na czele całego oddziału wrócił wcześniej, niż to było przewidziane, z egzekucji. Wpadli z impetem z nastawioną do ataku bronią, pytając, gdzie są bandyci, gdzie pożar, szukając zniszczenia i zgłiszcz.

Zorientowawszy się, że został wywiedziony w pole, szeryf nakazał znów powrót na miejsce straceń. Ale żołnierze byli już pomęczeni szybkim biegiem. Opadł z nich cały zapal bojowy.

Nim wrócili pod wzgórze, nie zastali na nim nikogo, oprócz sędziego, wiszącego na szubienicy głową na dół. Kat i jego pomocnik po odjeździe Robin Hooda rozwiązali skrzepowanych żołnierzy, ale bali się zostać na miejscu i wszyscy uciekli szybko ku miastu, razem z całym tłumem gawiedzi.

Doprowadzony do przytomności sędzia przerażony opowiedział urywanymi słowami przebieg napadu.

Szeryf kłął, wymyślał na strażników i groził im srogimi karami, wreszcie kazał ścigać „bandytów“.

Ale... szukaj wiatru w polu!

Wysłana pogoń wkrótce wróciła z niczym. Strażnicy bali się nawet zapuszczać głębiej w las, aby nie spotkać ludzi Robin Hooda. Jakże więc można było przekonać ich, żeby go ścigali? Wypocząwszy trochę w lesie, wrócili, meldując, że bandyci umknęli, zacierając za sobą ślady.

A Robin Hood, odsadziwszy się na przyzwolitą odległość od Nottingham, nakazał odpoczynek. Zmęczone szybką jazdą z przeładowanym wozem konie robiły ciężko bokami. Wyprzęgnięto je i wypuszczono na trawę. Robin kazał zdjąć z wozu zmaltretowanego Artura. Posadzili go na złożonych płaszcach pod sosną, tak aby mógł się oprzeć o drzewo plecami.

— No, jak się czujesz, druhu? — zapytał przyjaźnie Robin Hood.

— Jak człowiek oderwany ze stryczka — odpowiedział Artur wesoło, chociaż ból chodził mu po wszystkich kościach. — Ocaliliście mi życie, chociaż nie mogę w żaden sposób skombinować, co was skłoniło, aby na moją cześć urządzić tę całą awanturę. Co was właściwie obchodzi jakiś nieznany wędrowiec, żołnierz-obieżyświat?

— Przez nas wpadłeś w tę historię. Zatrzymano cię, sądząc, że należysz do bandy Robin Hooda — wytłumaczył mu Robin całkiem po prostu. — A więc obowiązek nakazywał pomóc ci, nie dopuścić do tej egzekucji.

— Ach, to wy jesteście bandą Robin Hooda? — zrozumiał wreszcie Artur. — Słyszałem o was niejednokrotnie. Wieści o Robin Hoodzie docierają nawet do Londynu. Jedni nazywają was bandytami, ale większość ludzi, z którymi się spotykałem, ma o was jednak lepsze zdanie. Uważają was za szlachetnych bohaterów, rycerzy, którzy robią krzywdę tylko łajdakom, grabieżcom i wyzyskiwaczom. Ale za to pomagają słabym, biednym i uciśnionym.

— Cieszę się, że ludzie dobrze nas rozumieją! — wtrącił z uśmiechem Robin Hood.

— Tak! Oceniają dobrze! Przekonałem się teraz o tym sam we własnej skórze. Kto inny nie zrobiłby tego, co wy, nawet dla ważniejszych powodów. Robin Hoodzie — zwrócił się do wodza. — Ocaliliście mi życie — należy ono do was. Jestem gotów przyłączyć się do bandy. Myślę, że moje kości szybko wejdą na swoje miejsce, a jako żołnierz — bez przechwałek jestem coś wart. Wstąpię do was, jeśli pozwolicie. I mam nadzieję, że będę miał okazję wyrównać swe rachunki z szeryfem Nottingham i jego ludźmi. Jestem im winien coś niecoś i radbym zwrócić to jak najszybciej z dobrą nawiązką.

— Zgoda, bracie! — odpowiedział Robin Hood. — Myślę, że zżyjemy się z sobą. Przyjmuję cię do bandy, ale najpierw odstawimy cię na miesiąc do dworu Partridge, abyś odpoczął trochę po wizycie u gościnnego szeryfa Nottingham.

W ten sposób bandzie Robin Hooda przybył nowy członek, o którym można było powiedzieć, że nie robi wstydu towarzyszom nieznajomością rzemiosła żołnierskiego.

ROZDZIAŁ XII

w którym Robinowi wydaje się, że po raz pierwszy widzi Mariannę

W kilka dni później Robin Hood samowtór tylko z Ryszardem wybrał się w odwiedzin do niewielkiego dworu Harper, leżącego dość daleko od Partridge nad rzeką Trent. Stary Gwidon Harper był serdecznym przyjacielem Jakuba Partridge, wuja Robina. Ale bardziej od niego schorowany nie zachował tej tężyzny i krzepkości jaką odznaczał się Jakub. Stan zdrowia był powodem, że miał kłopoty z prowadzeniem gospodarstwa. Nie miał synów, którzy mogliby go zastąpić, a córka Marianna, mimo najlepszych chęci nie mogła w pracy zastąpić młodego mężczyzny.

Ostatnio Harper popadł w jakieś trudności materialne, które go bardzo gnębiły. Dowiedziawszy się o tym, Jakub prosił siostrzeńca i syna, aby odwiedzili jego starego przyjaciela, porozmawiali z nim o tych sprawach i wywiedzieli się, w czym trzeba mu pomóc.

— Nie bardzo dobrze znam się na długach, pożyczkach i podatkach — śmiał się Robin Hood. — Ja albo biorę, albo daję, a nigdy w życiu nikomu ani od nikogo nie pożyczałem, ani nie płaciłem podatków.

— Gwidon wytłumaczy wam wszystko — uspokoił go wuj.

— A Marianna bardzo ucieszy się z waszej wizyty — dorzuciła pani Alicja.

— Kto to jest Marianna? — spytał Robin. — Wydawało mi się, że Gwidon Harper jest wdowcem. Czyżby miał drugą żonę?

— Ależ Robinie! — wykrzyknęła matka. — Nie pamiętasz Marianny? To córka Gwidona, przyjaciółka twoich sióstr. Gościła nieraz w dworze Partridge, a ostatnio nie dalej, jak zeszłej zimy.

— Być może! — zgodził się Robin. — Nie zwracam nigdy uwagi na małe dziewczynki. Czy to ta z śmiesznymi rudymi kitykami?

— Była, troszkę rudawa, jako mała dziewczynka. Ale teraz ma śliczne brązowe włosy z miedzianym połyskiem. Nie przypominaj jej czasem o tych rudych włosach. Bardzo się nimi, jako dziecko martwiła.

— Dobrze! Obiecuję nie przypominać, o ile w ogóle będę z nią rozmawiał, matko! — roześmiał się Robin.

Nie mając na razie żadnego pilnego zajęcia, wyruszyli nazajutrz obaj z Ryszardem z polecenia Jakuba.

Ubrani byli lekko. Zwiniete płaszcze przewiesili przez plecy. Uzbrojeni byli tylko w łuki, przy boku mieli krótkie mieczyki, a w rękę wycięte po drodze w lesie dębowe sękacze.

Szli szybko drogą.

Ryszard nie był rozmownym towarzyszem, ale Robin przyzwyczał się już do jego małomówności. Był w doskonałym humorze, nie miał żadnych zmartwień, monologował więc wesoło, nie spodziewając się odpowiedzi towarzysza, śpiewał głośno, lub pogwizdywał.

W lesie czuli się obaj bezpiecznie, jak w domu. Jakież bowiem mogło grozić im niebezpieczeństwo? Kto poważałby się w lesie Sherwood napaść na Robin Hooda, choćby nawet nie miał on przy sobie żadnej broni?

Toteż posuwali się bez zachowywania jakichkolwiek środków ostrożności. Nie oglądali się na boki, nie badali drogi przed sobą.

Najspokojniej zbliżyli się do ostrego zakrętu drogi, skąd już kilka zaledwie mil zostało im do dworu Harper.

Nagle tuż przed nimi, jak spod ziemi wyrosło kilka męskich postaci.

— Stój!

Robin i Ryszard stanęli, jak wryci, automatycznie podnosząc kije i przybierając pozycję obronną. Na chwycenie łuków nie było czasu. Napastnicy stali zbyt blisko.

— Bez głupstw! — zawołał wysoki, tęgi napastnik. — Nie próbujcie się bronić. Dawajcie sakiewki i co tam macie cennego.

Natarł na Robina mieczem. A ten uchyliwszy się od pchnięcia, uderzył go kijem w rękę, aż napastnik jęknął z bólu. W tej chwili inny rzucił się na Robina z tyłu i próbował schwycić go za ramiona. Robin znów machnął pałą, trafił go w głowę i jednym susem skoczył w bok, pod wielką sosnę, aby móc oprzeć się o nią plecami.

Ryszard, również pracując kijem, jak mieczem, oganiał się przed napastnikami. Wywinał się im i dotarł do przyjaciela.

Stali pod sosną ramię przy ramieniu. Ale ich sytuacja była beznadziejna. Napastnicy przytłaczali ich liczbą i lepszym uzbrojeniem. Było ich najmniej ośmiu, tęgich drabów z dobrymi mieczami.

— Poddajcie się, chłopcy — zaproponował znów wysoki wąsacz. — Darujemy wam życie. Zależy nam tylko na waszych pieniądzach i klejnotach. Jesteśmy bandą Robin Hooda i nikt nie jest w stanie nam się sprzeciwić.

— Co?! — nie mógł powstrzymać okrzyku Robin. — Wy jesteście bandą Robin Hooda? A może ty, przyjacielu, jesteś samym Robin Hoodem?

— Zgadłeś! — oświadczył dumnie wąsacz. — Widzicie więc, że nie warto się bronić. Dawajcie swe sakiewki!

— Weź je! — krzyknął Robin. Jak ryś skoczył na draba, kropnął go z całej siły sękaczem w głowę i nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, odskoczył na dawne miejsce.

Aaa! nędzniku! — zawył wąsacz i z mieczem natarł ostro na Robina.

Nagle w powietrzu coć furknęło. Drab krzyknął, wypuścił miecz na ziemię i lewą ręką chwycił się za ramię. Tkwiła w nim głęboko strzała.

Robin był zaskoczony nie mniej, niż napastnicy, ale, nie tracąc przytomności, podbiegi i porwał upuszczony przez wásacza miecz.

Zamieszanie wśród napastników trwało tylko krótką chwilę. Ranny odsunął się na bok, pozostali zacieśnili koło. Mając jednak miecz, Robin odpierał śmielej ich ataki.

Jednemu wytrącił miecz z ręki i ciął go prosto w twarz, drugiego ranił w rękę.



Nagle w powietrzu coś furknęło. Drab krzyknął, wy-
puścił miecz na ziemię

Znów nie wiadomo skąd świsnęła strzała i jeszcze jeden napastnik, chwyciwszy się za piersi, upadł na ziemię. Następna strzała przeszła innemu nogę. Wreszcie Ryszard zdołał chwycić opuszczony przez któregoś z rannych miecz. Sytuacja zmieniła się radykalnie.

Pozostali jeszcze bez uszkodzeń napastnicy, widząc co się święci, cofnęli się do lasu, zostawiając swych rannych.

— No i co, Robin Hoodzie? — spytał Robin wásacza, który przysiadł na ziemi, i ściągnąwszy kurtkę próbował opatrzyć ranę w ramieniu. — Nie udała się dzisiejsza wyprawa?

— Nie jestem wcale Robin Hoodem — odwarknął dryblas

— Domyśliłem się tego dawniej — roześmiał się Robin.

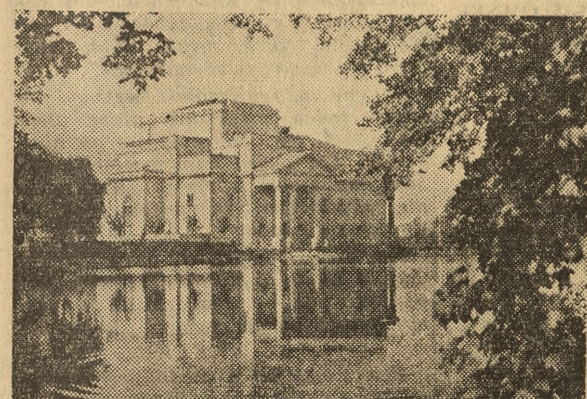
— Zbyt serio wzięliście nasz żart. Chcieliśmy was tylko trochę nastraszyć.

Kalisz, miasto zabytków i miasto przyszłości

Kalisz przygotowuje się do obchodu jubileuszowego w roku 1950. Będzie to 1800-lecie powstania miasta. Wprawdzie na prawie magdeburskim, w dzisiejszym miejscu, w widłach rzeki Prosy, powstało dopiero za Bolesława Pobożnego w XIII wieku, ale osadę gródka Calissia, o parę tylko km dalej, oznaczył już na mapie swej Aleksander Ptolemeusz w II wieku po Chrystusie, jako jeden z trzech etapów na „drodze bursztynowej” z południa przez Polskę do Morza Bałtyckiego wiodącej (dalsze dwie miejscowości to: Ascaulus — Nakło i Rugien — Dąbów).

Kalisz więc to miasto prastare i miasto zabytków, ale równocześnie miasto tętniące życiem i ambicjami, które w roku swym jubileuszowym chce się wykazać poważnymi osiągnięciami na każdym polu. Prezydent miasta Andrzej Bonusiak polecił spisać nową wyczerpującą monografię młodemu literatowi Wincentemu Jedrzejewskiemu, który połączony urokami Kalisza od niedawna tu osiadł i na pamięć już się go nauczył. Przed wojną wyszła praca o Kaliszu pióra Stefana i St. Dybowskiego (obecnego ministra Kultury i Sztuki) oraz pisał o nim Wład. Kwiatkowski.

Chcąc najprzód poznać miasto stare wyruszasz z p. Jedrzejewiczem na wędrowkę po zabytkach miasta. Wszystkie niemal leżą w obrębie dawnych murów, a więc niedaleko: kościół przy kościele, pałace, mury, baszta. Aby uchwycić tylko najważniejsze momenty, bo niesposób powtórzyć wszystkiego co słyszałam, widziałam i zanotowałam, powiem, że zatrzymaliśmy się dłużej w pięknym, barokowym kościele garnizonowym św. Józefa (dawnie jezuitski budowany w roku 1595), o jednej wieży nad portalem, strzelającej w górę wysmukłym hełmem. Bogactwo tej niedużej świątyni jest rzeczywiście niecodzienne: stary obraz cudowny Matki Boskiej Ogniowej, cudowny obraz św. Rodziny (zw. św. Józefa) w kaplicy fundowanej przez Ogińskiego, tabernakulum rzeźbione przez Teofila Lenartowicza na emigracji we Włoszech, piękny i cenny poliptryk średniowieczny, rzeźba w drzewie „Pieta” z XV wieku i na ostatku pamiętka niezwykła w skarbcu kościelnym: patena złota Mieszka Starego w XII wieku i kielich z XIII wie-



Kalisz — Teatr Miejski im. Wojciecha Bogusławskiego

tem królował zielony księżyc, płynąc z niewysłowienie liryczną muzyką w niewiadomy bezkres przestrzeni. Brzęczały komary, skrzypiały monotennie a zawzięcie świerszcze.

Casami pachnące powietrze przeszywał aksaminny szelest skrzydeł nietoperza lub sowy. A starsi wsi siedzieli wciąż przed czworakami, chwytając ochotnie w piersi tchnienie ciepłej nocy i w uroczystym oczekiwaniu pogwarali powoli o tym i owym.

Dziewuchy i parobki nie mogli ustać na miejscu od płomienistej radości, co im huczała w piersiach i pieniała się we krwi. Oczy błyszczały każdemu jasnym światłem. Usta chwytaly chłodniejsze wiewy, lejących z oddali wiatków, płuć wydawały raz wraz ckie wydechy utęsknienia. Dojrzałe zboże, wyrosłe w szumny łan, pachniało soczystą wonią.

Nad kłosaми wisiła lepka, upalna brzemienność. Dziewuchom w oczach migotały natarczywe, ostre światła, a nabrzmiałe, czerwone wargi bolały od pośpiesznie tętniącej krwi. Patrzyły chłopakom w oczy poszerzonymi i przyzwalającymi spojrzeniami.

Jutro żniwa.

A wśród starych powoli toczyła się gędzba. Mateusz fiuknął w końcu na psy i poszedł w podwórze, gdzie oparł się o czerwony, jak opalone policzki zdrowie baby, mur obory i myśląc poważnie o jutrzejszym dniu, zapatrzył się w śliczny miesiaczek. Psv, spuszczone z obroży, skakały przez kilka chwil jak obłąkane po podwórzu, goniąc chyba jakieś nocne mory. aż zmęczone przykucnęły obok i dysząc, z wywołaniem ozorem, krwawymi źrenicami spoglądały obojętnie na księżyc. W oborze spały bezpiecznie tłuste krowy, wydając przez sen serdeczne, ciagliwe wdychy satysfakcji z dostatecznie pełnego żołądka.

Od czasu do czasu w stajni konie,

ku. Chyba dość tytułów do sławy i starannych studiów. Drugą perłą wśród zabytków kaliskich to kościół farny św. Mikołaja, dostojny gotyk, fundowany w XIII stuleciu przez Bolesława Pobożnego i żonę jego błogosławioną Jolantę w roku 1254, posiadający skarb w Polsce jedyny: „Zdjęcie z Krzyża” Rubensa w głównym ołtarzu jasniejsze pełnym blaskiem świetnych barw. Wspaniały układ figur, skupienie światła na drgającym miękkimi refleksami ciele Chrystusa, wprawia w podziw i długotrwałą kontemplację artystyczną.

Cienistymi ogrodami wzdłuż Prosy i nowymi plantacjami, założonymi na zasypianych niedawno kanałach (nieśięty gorzej utrzymanymi) wędrujemy dalej z p. Jedrzejewiczem i teraz słucham o wkładzie twórczości artystycznej wniesionym przez Kalisz do ogólnej kultury polskiej. Dowiaduję się ilu tu artystów niepośledniej miary urodziło się, żyło, lub czas jakiś przemieszkiwało. Byli bowiem: i Seb. Klonowicz i Kanor Tymowski, Stef. Garczyński i Cyprian Godebski i Maria Konopnicka, a z muzyków Ludwik Grossman i Henryk Melcer i wielu, wielu innych. Przed ostatnią wojną jeszcze Wilkomirscy odgrywali w dziedzinie muzyki dużą rolę. Tu żegnaliśmy się z towarzyszem i szukam innych rozmówców w drodze do teatru. Nie było jakiegoś ma on tradycje, nie mówiąc już o „teatrum” odgrywanym przez wychowanków kolegium jezuickiego na powitanie królów polskich, ale w roku 1800 założył tu pierwszy stały teatr W. Bogusławski i był jego kierownikiem przez lat 15, a w okresie międzywojennym miał Kalisz takich dyrektorów jak: Iwo Gall (jeden z najlepszych dzisiejszych inscenizatorów i reżyserów w Polsce) oraz Lenk; teatr stał wówczas wysoko, ludzie zalegali widownię tłumnie. Wyznawcą O. D. Hofmann organizował widowiska po 50 gr za miejsce i zapelniał ją chłopami i robotnikami. Jak rzadko który, pięknie położony jest gmach teatru w Kaliszu; odbija się w szerokim lustrze Prosy wśród zieleni i kwiatników. Poziom jego obecnego zespołu nie dorównuje niestety dumnej tradycji. W dziedzinie literatury także bezludno trochę w Kaliszu, prócz nowego adepta Jedrzejewicza nie można pominąć domorodnego poetę samouka autora liryków i sztuk teatralnych Stanisława Witowskiego. W dziedzinie muzyki nie dzieje się również zbyt dobrze: 60 tysięczne miasto nie zdobyło się jeszcze na własną reprezentacyjną orkiestrę ale ją stworzył! Obiecał! Na razie zorganizował Wydz. Kultury i Sztuki kapelę ludową, której pierwszy publiczny występ ma się odbyć w dniach najbliższych. W dziedzinie plastyki ciska, Muzeum rozproszone podczas wojny, obecnie się reorganizuje, w roku jubileuszowym otwarte zostanie w nowym gmachu.

— Jeśli są jeszcze u nas niedociągnięcia, to w znacznej mierze i dlatego, że czujemy się jakby opuszczeni, zapomniani — skarżyli się panowie w ratuszu — jesteśmy tak daleko od województwa. Ale będziemy mieli swoje własne.

Kalisz robi starania o przyznanie mu siedziby administracji własnego województwa i uzasadnia to wieloma punktami. Jak się ta sprawa rozwine — przesądzać nie można. W każdym bądź razie Kalisz jest miastem dużym, pięknym, zasobnym, a wielka i starodawna przeszłość zobowiązuje je do budowania odpowiedniej przyszłości.

A. Łącz.

Objeżdżał ich w swoje posiadanie prawo letniej nocy, owianej ciężkim tchnieniem powszechnego dojrzenia. Heniek wodził oczami za Zośką. Drżały mu wargi, w piersiach tchu brakło, serce waliło gorączkowym łomotem. Prawie nigdy nie mógł pochwycić spojrzenia dziewczyny. Za to napałwał się tajemnie widokiem jej smagłej, przybladłej twarzy, pasowych, dyszących ust i jedynie wypuklających się piersi. Stale, nie wiadomo czy umyślnie, trzymała się z daleka od niego, szamocąc się, zresztą, bez wstydu, z innymi chłopakami.

— Czasami tylko uczułem w całej swej duszy słodkie, omdlewające tarcze jej wielkich, wprost weń wpatrzonych oczu. Przeszwał wtedy istnieć a za to w jak doskonały sposób odczuwał zmysłowy zapach zboża, które mają jutro ciąć, ciężkie tchnienie brzemiennej, śpiącej w dosyć ziemi.

— Moment! takiego patrzenia w siebie, natarczywymi oczami trwał bardzo krótko.

Heniek latał to za tą, ta za tą dziewczyną, starając się ukradkiem dopaść Zośki. Przeczuwała jego zabieg i trzymała się odeń stale na bezpiecznej odległości. W rozdyszanym, rozplamionym gromadzie powstał znieczeka projekt, bez zebrać muzykantów i zagrać coś z okazji jutrzejszej uroczystości.

Wnet czmychnęli chłopcy po instrumenty, a reszta zaczęła się gonić z powodu nowej radości z jeszcze większym zapamiętaniem. Heniek tak gdyby oszalał znieczeka dał suse w stronę Zośki i oblał ją potężnie w pół, układając usta do pocałunku. Dostał jednak starczyście w głębie, aż milcząc w podziwie nad pięknem nocy stodoły odpowiedział echem, dziewczucha wyrwała mu się jednym skrzem z rąk i bryknęła w stronę sadu.

Pognał za nią co tchu.

Lecieli przychyleni, dyrdem, obok sa-

Jerzy Andrzejewski — laureatem „ODRODZENIA”

Laureatem tegorocznej nagrody „Odrodzenia” został Jerzy Andrzejewski. Jego powieść „Popiół i diament” uznają jury nagrody — w składzie: Zofia Nalkowska, Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka i Stefan Żółkiewski — za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku.

Specjalną wartość nagrodzonego utworu Andrzejewskiego stanowi — jak podkreślali krytycy — jego społeczna komunikatywność, która pozwoli książce tej, poruszającej ważne problemy pierwszych chwil odbudowy naszego życia po wojnie dotrzeć do szerokich mas czytelników.

Pierwsze miejsce wśród pisarzy wyróżnionych zajął Adolf Rudnicki, autor książki o oryginalnej formie artystycznej pt. „Szepek”. Dalsze miejsca zajęli: T. Borowski — „Pożegnanie z Marią”, H. Boguszeńska — „Czekamy na życie”, K. Pruszyński — „Karabela z Meschedu” i L. Rudnicki — „Stare i nowe”.

Prócz tego wyróżnione zostały następujące utwory: Kazimierz Brandys — „Samson”, Jerzy Broszkiewicz — „Oczekiwanie”, Halina Maria Dąbrowska — „O Karolu Irzykowskim”, Maria Dłuska — „Wersyfikacja polska”, Stanisław Dygat — „Pożegnania”, Paweł Hertz — „Sedan”, Ludwik Hirsfeld — „Historia jednego życia”, Stefan Kisielewski — „Zbrodnia w dzielnicy północnej”, Jan Kott — „O Lalce Prusa”, Wacław Kubacki — „Krytyk i twórcza”, Michał Kusinek — „Prawo jesieni” i „Igraszki nieba”, Stefan Szuman — „O istocie i kunszcie poezji lirycznej”, Władysław Tatkiewicz — „O szczęściu”, Wojciech Zukrowski — „Piórkiem flaminga”, Mirosław Żuławski — „Ostatnia Europa” i Joanna Zwirska — „Cienie ojczyzny”.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że po raz pierwszy w dziejach nagrody „Odrodzenia” wyróżnione zostały książki z zakresu teorii i krytyki literackiej.

Tak więc widzimy, że obecnym poziomem kulturalnym Kalisz specjalnie szczycić się nie może ale czując te braki, dąży do poprawy. Na razie życie gospod.-przemysłowe rozwinięło się tak korzystnie, organizacja zakładów przemysłowych wybiegła tak daleko naprzód, że zdystansowała dziedzinę twórczości artystycznej. Państwowe Fabryki Pluszu i Aksamitu, Fabryki Tiulu Koronek i Firanek oraz Zakłady Przemysł. Garbarskiego należą do największych w Polsce. Miejskie zakłady użyteczności: gazownia, elektrownia i inne podwoły od czasu wojny swoją produkcję i rozwijają się nadal.

— Jeśli są jeszcze u nas niedociągnięcia, to w znacznej mierze i dlatego, że czujemy się jakby opuszczeni, zapomniani — skarżyli się panowie w ratuszu — jesteśmy tak daleko od województwa. Ale będziemy mieli swoje własne.

Kalisz robi starania o przyznanie mu siedziby administracji własnego województwa i uzasadnia to wieloma punktami. Jak się ta sprawa rozwine — przesądzać nie można. W każdym bądź razie Kalisz jest miastem dużym, pięknym, zasobnym, a wielka i starodawna przeszłość zobowiązuje je do budowania odpowiedniej przyszłości.

A. Łącz.

Stanisław Helsztyński

zdołał nagrodę literacką wojew. szczecińskiego

Sąd konkursowy Społecznych Szczecińskich Nagród Artystycznych na rok 1948 postanowił jednogłośnie przyznać nagrodę w dziedzinie literatury Stanisławowi Helsztyńskiemu za książkę „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego”, w dziedzinie plastyki H. Tomaszewskiemu i J. Powidzkiemu za całokształt ich działalności malarzkiej na Pomorzu Zachodnim.

Nagroda wyraża się sumą 100 000 zł dla Stanisława Helsztyńskiego, sumą 50 000 zł dla p. Tomaszewskiego i sumą 50 000 zł dla p. Powidzkiego.

Niniejszym podajemy parę szczegółów biograficznych nagrodzonego pisarza.



Stanisław Helsztyński

Urodzony 13. IV. 1891 w Kosowie. Otrzymał dyplom z prawa z Uniwersytetu w Warszawie, woj. pomorskiego, woj. poznańskiego, ukończył Stanisław Helsztyński szkołę średnią w Krakowie w 1913 r. Studia uniwersyteckie w zakresie neofilologii odbył w Monachium, Monachium, Poznaniu i Warszawie uzyskując

w r. 1926 doktorat z filologii angielskiej za rozprawę „Polskie przekłady Milтона i Pope’a”. Od roku 1920 do 1939 pracował jako nauczyciel szkół średnich w Warszawie, ogłaszając jednocześnie szereg prac, m. in. „Liryka angielska XX w.” (1929), „Anglofil Edmund Naganowski” (1929), „Listy Stanisława Przybyszewskiego” tomy I, II (1937—1938), „Od Szekspira do Joyce’a” (1939), „Katalog poeci Anglii” (1939), nadto szereg przekładów, wydawnictw szkolnych i kilkaset artykułów w „Wiadomościach

Literackich”, „Przeglądzie Współczesnym”, „Ruchu Literackim” i innych.

Jako autochton kresów zachodnich uwzględnił w swej twórczości tematykę zachodnią. Dotyczy to zarówno studiów nad Przybyszewskim i monumentalnej edycji jego listów, jak i stałego współpracownictwa w „Kronice Gostyńskiej”, „Wiciach Wielkopolskich”, „Piśmie inowrocławskim” oraz ogłoszenia poezji regionalnych w cyklu „Nad Wartą, Notecią i Obrą” (1931 do 1936).

Podczas okupacji pracował w tajnym nauczaniu jako dyrektor b. gimnazjum Lorentza w Warszawie. Mianowany dnia 5. IV. 1945 r. delegatem Ministerstwa Oświaty zorganizował jako pierwszy kurator okręgu szkolnego szczecińskiego szkolnictwo polskie na Pomorzu Zachodnim. Na marginesie swej pracy pionierskiej tych gorących miesięcy roku 1945 napisał kilkanaście reportażów, drukowanych w tygodniku literackim „Odrodzenie” i zebranych w osobną publikację pt. „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego”. Tej to pierwszej drukowanej na Pomorzu książce znanego pedagoga, kuratora i pisarza przyznana została nagroda literacka m. Szczecina na rok 1948.

Autor pracuje obecnie na uniwersytecie warszawskim w swej specjalności anglistycznej, habilitując się w roku 1946 po powrocie z Pomorza, ogłosił ostatnio w „Wiedzy Powszechnej” broszurę „Wizerunek Williama Szekspira” jako redaktor „Biblioteki Ziemi Odzyskanych” związany jest nadal z kresami zachodnimi, dla których w serii swej w PZWS opublikował w ostatnich dwóch latach przeszło 25 pozycji dotyczących dziejów i kultury Śląska, Pomorza Zachodniego i Mazowsza Pruskiego.

Przegląd kulturalny

W Wydziale O. i K. D. (Oświata i Kultura Dorosłych) w Kuratorium nie ustaje, mimo pory letniej, praca nad reorganizowaniem popularnych uniwersytetów na rok przychodzący. Nad trzema grupami uczelni tego rodzaju, rozróżnia opiekę pedagogiczną Wydział O. i K. D.: Uniwersytet Powszechny, Uniwersytety Ludowe i Uniwersytety Robotnicze. Każda z tych trzech grup ma inny cel, inny zakres działania i inny, tym samym, program nauki, ale wszystkie są jeszcze w stadium eksperymentalno-organizacyjnym, a plany ich dość płynne i częstym korekturom podległe, dopóki z potrzeb życiowych nie wykrystalizuje się ich ostateczna forma.

Uniwersytety Powszechne w okręgu poznańskim kształtują się na zasadzie schematu opracowanego przez wizytatora Hofmana: Uniw. Pow. dwuletni: 1-szy rok ogólnokształcący na poziomie gimnazjum, drugi rok specjalizacja na jednej z grup: humanistycznej, matematyczno-technicznej, lub nauk społecznych (na poziomie niższym). Na takim programie pracują uniwersytety w: Gnieźnie, Kaliszu, Skalmierzycach, Ostrowie i Wrześni. W Poznaniu jest trzyletni Uniwersytet Pow. im. Kasprzowicza z następującym programem: pierwszy rok ogólnokształcący na poziomie gimnazjalnym, drugi rok ogólnokształcący na poziomie licealnym, trzeci rok

specjalizacja na jednej z trzech wyżej wymienionych grup. Uniwersytet Powszechny jak to jego nazwa głosi, otwiera szerokie podwoje dla absolwentów 7 klas szkoły podstawowej, pracujących już w jakimkolwiek zawodzie, a chcących bądź to pogłębić swoje wykształcenie ogólne, bądź uzyskać podbudowę naukową, w wykonywanym zawodzie, tam zwłaszcza, gdzie średnie wykształcenie jest wymagane. W tym roku na U. P. wyżej wymienionych studiowało 649 osób, w tym mężczyzn 340, kobiet 309.

Nad reformą programów Uniwersytetów Ludowych obradowała konferencja kierowników U. L., przedstawicieli Kuratorium i T. U. L. woj. poznańskiego, przy udziale delegatów Zarządu Głównego T. U. L. pod przewodnictwem mgr Rogala w Łeknie w dniach 25—26—27 lipca. Jak sama nazwa świadczy U. L. przeznaczone są dla chłopów i mają charakter internatowy; na przemian, grupy chłopów i dziewcząt; odbywają na nich półroczne kursy. Mają one cel jasno określony: wykształcenie przodowników kulturalno-oświatowych wsi. Programy ich kładą specjalny nacisk na oświecenie i wyrobienie obywatelsko-społeczne, oraz na wdrożenie do pracy samodzielnej dlatego wymagają wrodzonej inteligencji i gromadzić powinny elitę wiejską pod względem zdolności umysłowych.

Usta niewinne i czerwone. Gdzieś w pobliżu bucał zajęty już swoimi sprawami żuk. Księżyc udawał, że nie widzi. Zboża szumiały tęskno, zachęcająco. Z oddali szedł cichy, chłodnawy powiew wiatru. Z żyta unosiła się wciąż owa ciężka, lepka woń dojrzałości. W Heńku i Zośce grała całą mocą zdrowa, jedyna młodość. Kształtowały się nowe swoiste byty, dokonywał nowy a prastary świat. Czuli pociąg ku sobie. Władczy, przemożny nakaz natury dbającej o wieczne trwanie życia. Zboża szumiały tęskno, zachęcająco. Heniek raptownym ruchem przywarł rozpalonymi ustami do nabrzmiałych, czerwonych ust dziewczyny. Nagle ze wsi odezwała się muzyka: trząsał się ochoczo rozpustny bęben. Lirycznie śpiewał klarnet, a zaś skrzypce zawodziły cieniem sopranem na całą okolicę:

Panie wójcie
Czy śłyszycie?
Przepióreczka kwili w życie:
Czas do żniwa, czas!

Heniek uiał dziewczynę za rękę i pędem biegł do wsi. Młodzi stali oparci o białą, roziskrzoną księżycem ścianę czworaku. W środku znajdowała się muzyka. W beben był jakiś pucoława, od ucha do ucha w uśmiechu rozdławiony chłopak, na klarnecie wygrywał chudy, żałosny Zygmunt o szerokich odstających uszach, smukiem zaś ciągnął blady Antek, artysta.

Leciła rzeźko w świat pobudliwa, ochocza muzyka:

Panie wójcie
Czy śłyszycie?
Przepióreczka kwili w życie:
Czas do żniwa, czas!

Młodzi słuchacze szczerzyli w ukontentowaniu zęby. Starzy słuchali po-blażliwie, a w ich zapatrzonych przed siebie oczach, widniała gotowość.

Utwór napisany w roku 1927.

